

Adam Olech

Humanitas a kwestia dojrzewającego do pełni Absolutu

Jednia mogła orzec o sobie, że jest Jednią w chwili, w której Jednią już być przestała, tj. wówczas, kiedy wyłoniła z siebie drugą hipostazę bytu – Logos. Realizację możliwości poznania samej siebie opłaciła utratą absolutnej jedności. Jednia poznająca samą siebie nie jest już jednością – przejście od jej pierwotnej bezrozumności do jej rozumności dokonało się za cenę jej rozdwojenia na Byt i Myśl.

Morał, jaki z tego można wysnuć, jest następujący: nawet w wymiarze metafizycznego Absolutu niczego nie ma za darmo – zyskując coś, coś innego się traci i, jakby tego było mało, trzeba potem stanąć wobec powinności wynikających z faktu posiadania tego, co się zyskało. Jest tak, albowiem zyskując Logos (a co za tym idzie Prawdę o samej sobie i świadomość tej Prawdy) stanęła następnie już niesamotoczna – bo odzwierciedlona w Logosie – Jednia wobec twardej powinności tworzenia tego, co dobre – wszak Prawda o niej samej to Prawda, że jest Dobrem.

Jeśli tak się dzieje w wymiarze Absolutu, to czyż – *mutatis mutandis* – nie dzieje się tak na przeciwnym biegunie Bytu?

Mawiają, że Adam stał się człowiekiem, kiedy rozpoznał swoją twarz w zwierciadle rajskiej studni. I mają rację, bo mówiąc językiem filozofów oznacza to, iż zaczął nim się stawać, kiedy zaczął transcendować przyrodę. Kiedy, jako część nieróżnicującej się *physis*, zyskał własny *logos*. Jakkolwiek to się stało, oznacza to, że stał się podmiotem poznającym, który mógł obrać za przedmiot swoich aktów poznawczych już to przedmioty zewnętrznego świata, już to siebie samego jako myślącego. Mógł cały zewnętrzny świat wchłonąć w siebie nie utożsamiając się z nim, a o sobie samym mógł orzec: ja

jestem ja – wyrażając w tym problem swojej ontycznej tożsamości i zarazem dojmujące uczucie obcości. Wszedł w posiadanie wiedzy o tym co różne i co tożsame, stał się sobą rozumnym, a poprzez indywidualną rozumność stał się uczestnikiem rozumności powszechnej – Logosu świata. Co więcej, poznając siebie i świat, to co jest, stanął następnie wobec wynikającej z tej wiedzy powinności tworzenia tego, co być powinno, czego domaga się to co jest, aby było uzupełnione, czyli wobec powinności tworzenia tego co dobre. I za sprawą tej twardej powinności, przed którą nie ma ucieczki, bo nawet zaniechanie jest odpowiedzią na nią, zaczął konstytuować się jako człowiek.

Prawda ma moc zniewalającą. Prawdy, że jest to a to, jeśli się ją pozna, nie można nie uznać, co nie oznacza, że to, co jest w prawdziwym sądzie odsłonięte jest zawsze godne afirmacji. Afirmuje się to, co dobre. Prawda o bycie zniewala do uznania również i samego bytu. Dobro bytu zniewala do jego afirmacji – do tego, iż się pragnie, aby był i nie przestał być.

Wyłoniony z jedni Logos sprawił, że Jednia tracąc ontyczną tożsamość zyskała wiedzę o tym, co utraciła. Tracąc bytowo, zyskała poznawczo, a zyskując poznawczo, stanęła wobec konieczności tworzenia tego, co dobre. Jej noetyczne sądy, skierowane na to co jest, odsłoniły przed nią istniejące Dobro i stały się dla niej impulsem wydania fronetycznych sądów skierowanych na to, co być powinno.

Noetyczne sądy Jedni są zawsze adekwatne, a jej sądy fronetyczne są zawsze aksjologicznie sensowne, co sprawia że tworząc, tworzy zawsze to, co okazuje się być nie tylko dobre, ale i najlepsze z możliwych, czyli słuszne. To co powinno być, ma być dobre – taki jest sens norm nakazujących. To zaś, co jest, jest – z punktu widzenia przeglądającej się w Logosie Jedni – nie tylko dobre, ale jest Dobrem. Jest zatem *par excellence* tym co powinno być. W przypadku Jedni nie zdarza się ekstrapolacja nieobiektywnego dobra istniejącego, czyli nie-Dobra w sferę powinności. Skoro to co jest, jest tym co być powinno, to czyż zatem nie można powiedzieć, że pomiędzy tym co jest a tym co być powinno rozciąga się nic konieczności? Że to co powinno być jest Jedni zadane i dane zarazem?

Pytanie, które w tym miejscu można by postawić: dlaczego Jednia staje przed powinnością i na nią odpowiada, tworząc? Być może raczej

mają ci, którzy mówią, że jej doskonałość przed tworzeniem była doskonałością jedynie wirtualną i żeby dojść do aktualnej pełni i doskonałości musiała podjąć się tworzenia. Że zatem tworzenie dobra było dlań koniecznością, czymś zadanym, skoro nie mogła być sama pełnią doskonałości.

Wyłoniony z Jedni Logos sprawił, że tracąc ontyczną tożsamość zyskała Jednia wiedzę o tym, co utraciła oraz wiedzę o swojej jedynie potencjalnej doskonałości. Podejmując się jej aktualizacji, zyskała szansę odzyskania tego, co utraciła – samotożsamości oraz, co więcej, szansę aktualnej tym razem pełni i doskonałości. Czyż nie podobnie rzecz się ma z człowiekiem? Styk natury i nadbudowanego nad nią ludzkiego transcendensu to granica, na której pojawił się ludzki, czy może lepiej powiedzieć – w jednostkę uwikłany logos, który ów heteronomiczny bytowo transcendens mocą nieustannego wysiłku konstytuuje. Na tej granicznej linii nastąpiła utrata ontycznej tożsamości tego, który stał się człowiekiem, a przestał być – mówiąc za Herbertem – kamieniem: „stworzeniem [...] równym samemu sobie [...] wypełnionym dokładnie kamiennym sensem”. Utratą ontycznej tożsamości zapłacił za wiedzę o niej, a był samotożsamy będąc niewyróżniającą się częścią natury. I, jakby tego było mało, stanął następnie wobec powinności wynikającej z faktu posiadania tego, co zyskał. Jego noetyczne sądy mówią mu, że jest dobrem, aczkolwiek niepełnym, zatem domagającym się dopełnienia. To, że jest dobrem zakłada negatywna norma mówiąca: „Nie zabijaj!”, a inne normy negatywne zakładają, że i jego dojrzewanie do pełności jest także czymś dobrym.

Istnienie negatywnych norm skłania do przypuszczeń, że albo wiedza człowieka o tym, że sam jest dobrem nie jest pewna i jako taka nie ma mocy zniewalającej, albo że wiedza o aksjologicznym wymiarze jego bytu odsłania mu tak znikomą zawartość dobra w nim samym, że w istnienie tego dobra zaczyna wątpić. Bo gdyby miara dobra w nim tkwiąca oraz wiedza o nim były niekwestionowalne, to czyż trzeba byłoby ciągle przypominać, aby nie zabijał?

Negatywna powinność nakazuje człowiekowi afirmować ludzki byt, bo jest dobrem co najmniej w tym sensie, iż może być racją dobra, które się nad nim nadbuduje. A że jest dobrem niepełnym, staje zatem człowiek wobec pozytywnej powinności dopełniania się w do-

bru. Jednakże, przedmiotem negatywnej powinności nie jest wszystko co składa się na świat człowieka, bo nie wszystko co jest w jego świecie powinno w nim być. Problem, przed którym staję polega na rozeznaniu się w tym, co z tego, co w jego świecie istnieje jest dobrem, a co złem, oraz dlaczego jest właśnie takie. Gdyby człowiek nie uczestniczył także w złu (jak – co zakładam – nie uczestniczy w nim Absolut) i gdyby miał pełne rozeznanie dobra (jakie ma Absolut), czyli gdyby był na zło zamknięty, to łatwo mógłby przejść od tego co jest do tego co być powinno. Gdyby tak było, wówczas to, co człowiekowi jest zadane byłoby mu zarazem dane, jak zadane i dane jest Absolutowi to, co stanowi jego dziedzinę aktualizacji, poprzez którą dojrzewa do pełni.

Morał, jaki z tego można wysnuć, jest taki: łatwo być dojrzewającym do pełni Absolutem, trudno natomiast dojrzewającym do pełni, tj. do człowieczeństwa, człowiekiem. Absolut sam zadaje sobie dziedzinę powinności, która jest przedłużeniem jego samego; człowiekowi dziedzina ta została zewnętrznie zadana, tj. nadane mu zostało człowieczeństwo będące dlań czymś apriorycznym, niewywiecznym z tego, co jest aktualnie nim samym i jego światem.

Człowieczeństwo, jeśli się spełnia, to spełnia się w ciągłej realizacji dobra, którego kresem jest Dobro Absolutne. Jest zatem człowieczeństwo powinnością zmierzającą ku Absolutnemu Dobru. Nie wiem czy to ostatnie jest Dobrem dojrzewającym do pełni; nie wiem także czy ono w ogóle istnieje i czy mówienie o dojrzewającym do pełni Absolutnie nie jest projekcją losu każdego człowieka. Sądzę jednak, że wizja tak czy inaczej dojrzewającego Absolutu jest nader pociągająca, bo ukazuje wspólnotę losu człowieka i Absolutu, i nie pozostawia człowieka samotnego w zadanej mu drodze do pełności. Ale jeśli nawet Absolutne Dobro nie jest dobrem *in statu nascendi*, ale Dobrem w pełni aktualnym, i nawet jeśli o istnieniu żadnego z nich nie jesteśmy przekonani, to taką lub inną jego postać należy przyjąć jako konieczną metafizyczną hipotezę, jeśli mamy zasadnie mówić o godności każdego człowieka i o niezbywalnych prawach, które z racji człowieczeństwa przysługują każdej jednostce. Bo można tak mówić jedynie w imię człowieczeństwa definiowalnego aksjologicznie.

Swoistym paradoksem historii jest jednak to, że racjonalistyczna metafizyka człowieka i Absolutu, w którą – *nolens volens* – wpisuje

się niniejszy esej, wizja głosząca prymat całości przed częścią oraz rozumu przed wolą nie zrodziła praktycznej filozofii społecznej, w której każda jednostka miałaby obwarowane prawami gwarancje godności i podmiotowości. Taką praktyczną filozofię zrodziła wizja przeciwna: nominalistyczna i woluntarystyczna, zainicjowana, jeśli o średnie wieki chodzi, w indywidualizmie Dunsza Szkota i Ockhama, rozwijana w religijnym egalitaryzmie Lutra, wzmocniona w Kartezjańskim paradygmacie prymatu części nad całością i owocująca w liberalnej filozofii społecznej Locke'a.

Stąd morał ostatni: niechaj ci, którym dane jest przekraczać próg Platońskiej jaskini i w aktach intelektualnej intuicji ujmować Absolutne Dobro ukazują metafizyczną zasadność twierdzeń o wysokiej godności każdego człowieka. Ci zaś, którzy skazani są na to, aby w jaskini pozostać, niechaj swój los powierzają raczej uczniom Ockhama i Locke'a.

Adam Olech
